

marzec 2013

STUDNIÓWKI
N I Ó W K A

L5 KOMOTYWA



Wspomnienia
studniówkowe
nauczycieli i uczniów

Żegnamy

Samorząd Uczniowski

Filozofia życia
wg Marii

Być dla innych
rozmowa
z p. Angeliką Leszczyńską



Ciągniemy jak chcemy!

Jeśli myśleliście, że nam się już odechciało pchania tej LOkomotywy, to się pomyliliście! Jest "6", a niedługo będzie i "7"!

Od Redakcji:

Kolejny numer LOkomotywy puka do Waszych monitorów z nadzieją, że znajdziecie chwilę na lekturę naprawdę sympatycznych tekstów. Wśród nazwisk starych redaktorów znajdziecie kilka nowych, gdyż w naszym kolektywie drobne zmiany: młodość, świeżość pomysłów i czysta energia pracują już nad kwietniową edycją szkolnej gazety.

Od Darka:

Z racji, że przypadło mi miejsce we wstępniaku, mam okazję "wyrzucić" kilka własnych myśli. Pierwsza... Tak, tego mogliście się spodziewać - marudzenie! Jednakże w tym celu zamierzam się posłużyć pewnym narzędziem - polecam lekturę przynajmniej wstępu do artykułu "LOkomotywa - rekomendowana przez ekspertów!". Po drugie - powszechnie wiadomo, że nasz kraj jest pełen wszelkiego rodzaju myślicieli i wspomnianych już ekspertów w każdej dziedzinie, tak więc zachęcam do wysyłania

sugestii/myśli/krytyki na naszą redakcyjną skrzynkę (redakcja.lokomotywa@gmail.com). Oczywiście wziąłem już poprawkę na to, że większości się "nie chce", nawet jeśli mieliby dużo do powiedzenia. Uciekając na boczny tor - jeśli coś, Waszym zdaniem, w naszej gazecie jest słabe, niewarte uwagi, irytujące - zapraszam do otwartej i nieskrępowanej dyskusji.

Swoją drogą - Internet jest pełny myślicieli, dlatego pozostawiam Was z zawartym poniżej obrazkiem zerzniętym wprost z demotyatorów.

Polecamy:

Studniówkowe wspomnienie uczniów i nauczycieli

Kadencję SU podsumowuje Mateusz Gappa

Filozofia życia we Marii W.

Dlaczego nie czytacie LOkomotywy?

Wy-pytanie profesora Jarki

O uczciwości wobec siebie - ks Marek Gubernat MSF

O wolontariacie i nie tylko z panią Angeliką Leszczyńską

Co gra w duszy Piotrkowi Rz.

Zachęty kulturalne



SMUTNY OBRAZEK

Pseudofilozoficzny podpis pełen mądrości życiowej gimbusa. Koniecznie jak najdłuższy, bo takie są najmądrzejsze. Dopiszę jeszcze trochę, bo się zmieści

www.demotyatory.pl

Studniówka to już tylko wspomnienie!

Studniówka to jedno z ważniejszych wydarzeń w życiu człowieka. Dużo czasu poświęca maturzysta, aby przygotować się do tak hucznej uroczystości. Próby poloneza, zakup sukienki, garnitur, wizyta u fryzjera czy kosmetyczki, tyle spraw do załatwienia przed jedynym takim wieczorem...

Tegoroczna studniówka odbyła się 4 stycznia w Pałacyku w Sypnie. Zapytani przez mnie maturzyści chórem odpowiedzieli, że impreza była rewelacyjna. Wszyscy bawili się świetnie. Gdyby mogli, cofnęliby czas i przenieśli się jeszcze raz na taneczny parkiet. Najbardziej udanymi elementami studniówki były, według imprezowiczów, klasowe polonezy. Wszystko wyszło tak, jak to zaplanowano. Dużą sympatią obdarzony został zespół VIVO, który przygrywał bawiącej się młodzieży.

Pałacyk w Sypnie to niespodzianka tegorocznej studniówki. Dowiedziałam się, że większość maturzystów była zachwycona panującym tam klimatem. Wystrój przypominał scenografię



z filmu pt. „Pan Tadeusz”, co sprawiało, że tańczone polonezy nabrały jeszcze piękniejszego wyrazu. Nie obyło się jednak bez słów niezadowolenia: główna sala taneczna była niewielka a parkiet śliski, klasy zajmowały

osobne mniejsze sale. Pomimo tego ogólny wyraz i urokliwość miejsca sprawiły, że wielu trzecioklasistów poleciłoby to miejsce młodszym koleżankom i kolegom.

Zapytałam maturzystów, co najbardziej zapadło im w pamięć z całej studniówkowej imprezy. Większość odpowiedziała mi, że było to uroczyste przypinanie koniczynek, taniec polonezów, a ponad wszystko fantastyczna zabawa

Według młodzieży na miano „króla parkietu” zasługują: prof. Jan Linke i prof. Ireneusz Brewka. Do przebojów, przy których bawiono się najlepiej należały: piosenka zespołu Weekend – „Ona tańczy dla mnie”, ogólnoswiatowy hit PSY – „Gangnam Style” oraz kankan.





Podsumowując, tegoroczna studniówka okazała się dla maturzystów rewelacyjnym i niezapomnianym wydarzeniem. Tańce do białego rana, bolące przez kilka kolejnych dni nogi były dowodem, że wszyscy bawili się wspaniale. Miejmy nadzieję, że kolejne studniówki uczniów naszej szkoły będą równie udane. A teraz odliczamy dni do matury...

Maturzystów wypytywała Weronika Rogut

Wspomnienia nie płowieją, czyli studniówki profesorskie!

Pani Aleksandra Szuta, nauczyciel języka polskiego i wiedzy o kulturze:

Studniówkę zorganizowaliśmy sobie całkowicie samodzielnie. Odbyła się w Sali gimnastycznej Liceum Plastycznego w Poznaniu. Pamiętam, że zdecydowaliśmy się spędzić ją tylko we własnym gronie, wiedząc, że to ostatnie takie spotkanie. Najprzyjemniejsze moje wspomnienie związane jest z tym, że zabawa miała charakter bardzo integracyjny – przez cały wieczór biesiadowaliśmy razem z naszymi nauczycielami. Miłe było zwłaszcza to, że najpierw zasiedliśmy przy jednym wspólnym stole, a potem przez całą noc razem tańczyliśmy. Było naprawdę bardzo wesoło. Ta rezygnacja z tradycyjnego podziału na „strefę nauczyciela” i całkowicie od-



rębną „strefę ucznia” jest podstawą moich najlepszych wspomnień z liceum.

Pani Emilia Kozłowska, nauczyciel biologii:

Mój bal studniówkowy odbył się w styczniu 1998 roku w naszym I LO. Pamiętam, jak bardzo czekałam na ten wieczór- całe 3 i pół

roku. Fryzjer, sukienka, buty - to było na drugim planie. Bal organizowaliśmy w szkolnej sali gimnastycznej i to właśnie jej dekorowanie angażowało najwięcej naszej energii. Wymyśliliśmy "Komnatę Strachów".

Cały tydzień świetnie się przy tym bawiliśmy i wyszło super. Próby poloneza do upadłego, zaproszenia, menu... Samą Stud-



nówkę zapamiętałam, jako wspaniały bal, pełen elegancji i dobrej zabawy.

Pan Jan Linke, nauczyciel historii i wiedzy o społeczeństwie:

Studniówka AD 1986 w Liceum Ogólnokształcącym im. Oskara Kolberga w Kościanie odbyła się jak zwykle w styczniu, w piątek (nie pamiętam którego), jak zwykle w godzinach 18.00 – 1.00. I nic dłużej.

Stroje? W tamtych czasach standardowe: dziewczęta – białe bluzki, ciemne spódnice albo skromne ciemne sukienki; chłopcy – wiadomo - garnitury. Panowała moda na wąskie krawaty. Muzyka? Nie pamiętam, co grała orkiestra, ale wówczas najpopularniejszymi hitami były: „Kochaj mnie miły” zespołu Banda i Wanda, „Zastanów się, co robisz”, „Au sza la la la”, „Och, Ziuta” Shakina Dudi, „Black and White”, „Nasze rendez sous” w wykonaniu Kombi. Nie brakowało też muzyki zagranicznej, lansowanej przez Marka Niedźwieckiego w Trójce. Każdy z nas słuchał Listy Przebojów Trójki i bawiliśmy się przy będących u szczytu popularności Dire Straits, właśnie zaczynającym karierę A-ha, trochę wtedy przeze

mnie niedocenianym Bryanie Ferry. Muzyka taneczna tamtego czasu to Modern Talking, Bad Boys Blue, Sabrina, Sandra – kto ich dziś pamięta?

Zabawa była przednia – bo inna na studniówce być nie mogła. Poloneza zatańczyłem z koleżanką z klasy – nie chciałem zapraszać nikogo z zewnątrz. Moja klasa to 3 chłopców i 17 dziewcząt – zawsze było z kim poszaleć na parkiecie.

Do dzisiaj pamiętam, co czułem. Studniówka powoli zaczynała zamykać beztróski czas liceum, wiedziałem, że za pół roku się rozejdziemy.

Pani Maria Rosińska, nauczyciel – bibliotekarz:

Studniówki w naszym liceum za-

wsze były wielkim wydarzeniem, dla nas to był pierwszy prawdziwy bal, z muzyką „na żywo” i zabawą z profesorami do białego rana. Jedynym słusznym strojem były białe bluzki i czarne lub granatowe długie spódnice, za to w kwestii kroju kreacji można było wykazać się inwencją twórczą. Ówczesne studniówki odbywały się w naszej sali gimnastycznej, którą trzeba było przystroić, dekoracja musiała być oryginalna i tematyczna, więc albo to był pałac zimowy albo dwór szlachecki, komnata królewska, kosmos... negocjacje międzyklasowe nie były łatwe, za to ile zabawy przy realizacji... Pomysły ambitne - materiałów do wykonania praktycznie żadnych, więc wykonanie dekoracji było dla nas niemałym wyzwaniem. Organizacją studniówki od strony aprowizacji i przygotowania menu zajmowali się rodzice, szczególnie nasze mamy, które już nieco wcześniej przyjmowały strategiczną pozycję w kuchni Szkoły Podstawowej nr 1, z którą dzieliły nas zawsze otwarte drzwi. Ekipę kelnerską tworzyli o rok młodszy uczniowie naszej szkoły, którzy poza zręcznością i znajomością bon tonu, musieli wykazać się niezłą kondycją, przemierzając szkolne korytarze





między SP1 a naszą salą z tacami pełnymi naczyniami.

Każda studniówka była nieopowtarzalna, ale nasza przeszła do historii szkoły z jednego powodu, mianowicie po raz pierwszy w historii szkoły, dyrektor E. Zieliński wyraził zgodę na zaproszenie na nią swoich partnerów. Wcześniej panowie mogli dogadać się z koleżankami z klas równoległych, (uczniowie z młodszych klas, poza obsługą kelnerską nie mieli wstępu na studniówkę), dla pań bez pary dyrekcja zapraszała grupę podchorążych z Wyższej Szkoły Oficerskiej z Piły. Na marginesie dodam, że dziewczyny w „Ekonomie”, których w ówczesnych czasach było w szkole około 98%, bawiły się z żołnierzami z J.W. Wojsk Lotniczych z Debrzna (tzw. „atramenty”).

Dokumentowaniem studniówki, czyli robieniem zdjęć, zajmowali się koledzy z działającego w szkole koła fotograficznego. Problemów ze scenariuszem filmu studniówkowego nie mieliśmy z oczywistych względów, podobnie jak nie mieliśmy koniczynek, podwiązek i tortów... Jednak znakomicie bawiliśmy się do rana. Studniówka była oficjalną imprezą szkolną z perspektywą matury, która, choć trudno w to

dziś uwierzyć, była dla nas sporym stresem. Zaszaleć można było dopiero po zdanej maturze na balu maturalnym, który jeszcze w tych czasach należał do tradycji.

Pani Karolina Skotarczak-Do- brzyńska, nauczyciel - informatyk:

Pamiętam, że mojej studniówce towarzyszyła pewna magia. Związana ona była z rokiem milenijnym. Wszystko wtedy miało być takie wyjątkowe, bo wchodziliśmy w nowe tysiąclecie: Nowy Rok 2000, Studniówka 2000 i Matura 2000. Myślę, że było tak wyjątkowe, jak każde ważne wydarzenie w naszym życiu. Tak naprawdę nieistotny jest ten numer roku, ale nasze przeżywanie tych chwil. Chodziłam do szkoły

o trochę innej specyfice. Jestem absolwentką Liceum Ogólnokształcącego Towarzystwa Salezjańskiego w Pile. Szkoła była i jest prowadzona przez księży salezjanów, których powołaniem jest praca z ludźmi młodymi i dla młodych. Nie znaczy to wcale, że wszystkich przedmiotów uczył tam ksiądz i przed każdą lekcją trzeba się modlić. Jednak na czele szkoły stoi Ksiądz Dyrektor (nie mylić z Ojcem Dyrektorem), który troszczy się o stan ducha i poziom umysłów swoich podopiecznych. Nade wszystko zależy mu na kształtowaniu swoich wychowanków. Stąd codziennie rano kieruje do nich tzw. „słówko”. Dba o różnorodność zajęć. Obok szerokiego wachlarza zajęć dydaktycznych, odbywają się zajęcia dodatkowe, fakultety z przedmiotów maturalnych i zajęcia sportowe. Nasz Ksiądz Dyrektor, z wykształcenia muzykolog po konserwatorium G. Verdiego w Turynie, spełnił swoje ambicje i zatrudnił specjalnie dla nas choreografa, który uczył nas układu poloneza. Nie wierzyliśmy, że to co wymyślił ten człowiek, da się w ogóle tańczyć. On jednak z mozołem ćwiczył z nami taniec. Muzyka, oczywiście też nie mogła być



standardowa, np. z popularnego już wtedy filmu „Pan Tadeusz”. Nasz Ksiądz Dyrektor wybrał dla nas Poloneza kompozycji Wojciecha Żywnego (nauczyciela Fryderyka Chopina). Zdarzył się chyba cud, bo taniec po raz pierwszy udał się dopiero na Studniówce. Pamiętam wtedy tę radość i dumę naszego Księdza Dyrektora i naszej polonistki, również miłośniczki kultury dawnej. Przyznam, że też się cieszyliśmy, bo sprostaliśmy niełatwemu zadaniu. Studniówka była dla nas wszystkich bardzo szczególna, bo byliśmy pierwszym rocznikiem LOTS w Pile i mieliśmy świadomość, że nadajemy

kształt tradycji tej szkoły. Wszystkie elementy studniówki: wystrój, powitanie gości, program artystyczny, podziękowania dla dyrekcji, nauczycieli i wychowawców dopracowaliśmy ze szczególnymi. Nasze grono pedagogiczne wtedy zbierało pierwsze plony tego, co w nas zainwestowało. Zabawa była fantastyczna. Pamiętam, że w ferworze tańców zerwałam ramięczko od sukienki... Na szczęście koleżanka mieszkała niedaleko lokalu, w którym odbywała się impreza i usterkę udało się szybko naprawić. Jeżeli chodzi o ówczesną modę, to panował szal na tafty. Większość z nas miała dłu-

gie sukienki z tego materiału. Dawało to elegancki efekt, ale kiedy dziś oglądam zdjęcia ze studniówki, mam wrażenie że strasznie nas tamta moda postarzała. Tak już chyba jest z każdą modą, która przeminęła... Od mojej studniówki minęło 12 lat, restauracja wojskowa, w którym się ona odbywała już nie istnieje. Takie znaki czasu. Wszystkim maturzystom, chciałabym życzyć z całego serca pięknych wspomnień ze studniówki!

Z zakasanimi rękawami czas płynie szybciej

Gdyby nie fakt, że organizacja kolejnych wyborów do Samorządu Uczniowskiego należy do naszych kompetencji, nie uwierzylibyśmy, że mamy już za sobą rok pracy! Nadchodzi moment, w którym przeżyciemy pałeczkę władzy dalej, w inne ręce. Muszę przyznać, że przewodniczenie Samorządowi Uczniowskiemu i możliwość działania w jego ramach były dla mnie zaszczytem. Mimo że nie byłem przewodniczącym z paskiem na świadectwie, to swoją robotę wykonywałem jak tylko mogłem najlepiej. Każdy z nas pracował wręcz ponad swoje możliwości, pozalekcyjnie. Czasami trzeba było tupnąć, warknąć, ale to przecież normalne. Za słodko być nie może!

Otrzęsiny pierwszoklasistów

Pierwsza impreza, jaką organizowaliśmy, to tzw otrzęsiny klas pierwszych. Nasza 10-tka nie dałaby rady, gdyby nie wsparcie profesora Ireneusza Brewki. Członkowie samorządu musieli wyjść przed całą szkolną społeczność i dać takie show, by nie zannudzić publiczności a jednocześnie zachować obowiązujące w szkole normy. Przyznam, że poszliśmy na żywioł, a ja nie znoszę spontaniczności, wolę mieć wszystko dokładnie



zaplanowane. Okazało się, że potrafię zaskoczyć sam siebie. Nasz spontan spodobał się nie tylko „kociakom“, ale całej społeczności szkolnej. Obawialiśmy się, czy wymyślone przez nas zadania nie odstraszą pierwszoklasistów, ale zgłaszali się do nich sami, więc militarny charakter otrzęsin przypadł im chyba do gustu. Stres, obiektywy kamer i aparatów oraz czujne oko grona pedagogicznego naprawdę dają motywacyjnego kopa, by zrobić wszystko porządnie - od deski do deski.

całość i udekorować salę. I wiecie co? Dam Wam radę. Gdybyście kiedykolwiek organizowali imprezę, pamiętajcie, że im więcej dekoracji, tym więcej sprzątanina po zabawie. Nic jednak nie było w stanie zepsuć nam nastroju po tak udanej imprezie. Pierwsza dyskoteka pod hasłem "Hawaiian Party" dała nam tylko znać, że wykorzystaliśmy jedynie 50% swoich możliwości! Na imprezę przybyło ponad 220 osób. Sukces świętowaliśmy wcinając kebaba. Kolejna rada - nawet ważąc grubo ponad 90 kg nie próbuj

druga impreza będzie w okolicach Walentynek. I tak też się stało. Otrzymaliśmy zgodę od Pana Dyrektora na organizację "College Party". To był absolutny hit. Zainspirowani American Pie i Projektem X odwaliliśmy kawał dobrej roboty. Konfetti, krasnalpiniata, lightsticki i wszechobecny szał. Pobiliśmy rekord - bawiło się z nami ponad 300 osób! Tym razem jednak odpuściliśmy sobie kebaba...

Imprezy i imprezki

Poza dużymi przedsięwzięciami mamy na koncie kilka mniejszych inicjatyw, np. grudniowe Mikołajki, które odbyły się głośnym echem niekonstruktywnej krytyki. Zdecydowanie lepiej wypadły: Dzień Edukacji Narodowej, Dzień Sportu oraz Walentynki. Praca przy każdym z tych wydarzeń była ciekawym i po prostu fajnym doświadczeniem. Wielkie słowa wdzięczności chciałbym przekazać panu profesorowi Ireneuszowi Brewce, który okazał nam wiele wsparcia i cierpliwości. Gdy mi brakowało sił, a nerwy puszczały, mogłem liczyć na swoją prawą rękę, Jakuba Białego. Podziękowania oczywiście należą się wszystkim członkom Samorządu Uczniowskiego. To był fajny rok, ludzie, dzięki!

Matczysz Gappa



Dyskoteki- chodzić fajnie, ale jak zorganizować?

Kiedy ochłonęliśmy po pierwszej imprezie, nadszedł czas na dyskotekę. Od czego zacząć? Podpytywaliśmy naszych poprzedników o sprzęt, zupełnie nie mając pojęcia, od kogo można takowy pożyczyć. Po wykonaniu paru telefonów, uzyskaliśmy dostęp do oświetlenia, bez którego żadna dyskoteka nie ma sensu. W tym miejscu kieruję podziękowania do pani Barbary Hensler, pana Marcina Hryńczuka oraz ZCAS-u za okazaną nam pomoc. Z nagłośnieniem nie było już problemów, nasz szkolny sprzęt dał sobie radę. Pozostało tylko zgrać muzykę, podłączyć

zjeść dwóch. Po kilku dniach otrzymałem na facebooku wiadomość od 23-latki studiującej w Koszalinie, z pytaniem: "Kiedy będzie następna dyskoteka w Ogólniaku?!" Oczywiście mój dobroduszny charakter nie pozwolił cierpieć zaciekawionej niewiaście, więc obiecałem, że



Filozofia wartości życia wg Marii W.

Laureatka wielu konkursów, do niedawna redaktor naczelna naszej gazetki, a jednocześnie miłośniczka książek, koni, i ..pomelo! -Maria Weinstok :)

Co jest dla Ciebie w życiu najważniejsze?

-O kurczę.. Wielką wartością są dla mnie ludzie: rodzina, bliscy, przyjaciele. I chyba marzenia.

Czy masz jakieś życiowe motto, zasadę, którą się kierujesz?

- Na pewno kieruję się Dekalogiem. Bo wiara jest dla mnie czymś bardzo ważnym, takim „wyznacznikiem”, hierarchią wartości i zasad moralnych. Moje motto? „Przyszłość należy do tych, którzy wierzą w piękno własnych marzeń” oraz „Memento vivere, memento Mori”

Jakie cechy najbardziej cenisz w ludziach?

- Bardzo cenię bezpośredniość. Umiejętność mówienia prawdy prosto w oczy. Uczciwość, empatię i wrażliwość na drugiego człowieka.

Co Cię najbardziej irytuje, denerwuje?

- Ostatnio zauważyłam brak wiedzy na temat historii wśród ludzi. Irytuje mnie niechęć i niedocenywanie historii, przeszłości. Niedocenywanie, że gdyby nie to, co zdarzyło się wcześniej, to nasze życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Jesteś w klasie matematyczno-fizycznej. Ale osiągasz sukcesy w konkursach humanistycznych, czy czujesz się bardziej humanistką czy ścisłowcem?

- Pamiętam jak w gimnazjum pa-



ni Czajka mnie podsumowała, że mam umysł ścisłowca a duszę humanisty i chyba ma rację. Nie potrafię się określić.

Angażujesz się wiele spraw, poświęcasz dużo czasu aby przygotować się do różnych olimpiad, konkursów, co Cię mobilizuje do działania?

- Chyba ciekawość. Ciekawość świata, chęć poznania czegoś nowego i to właśnie mnie motywuje. Nie lubię i nigdy nie robię tego, co mnie nudzi.

Czy jest ktoś, kto napędza Cię do działania?

- Moja mama dużo mi pomaga. Zawsze kibicuje, doradza - jest

moją przyjaciółką. Jak i cała rodzina. Również przyjaciele i nauczyciele.

Czy zdarza Ci się odczuwać lęk, niepokój, stres?

- Stres... Stresują mnie czasem wystąpienia publiczne, mówienie po angielsku przy ludziach, którzy mogą ocenić moją umiejętność wysłowienia się, albo to, że mówię bardzo szybko. Czy się boję? Jakoś tak niespecjalnie, póki co maturą się nie stresuję.

Czy stosujesz jakąś specjalną technikę uczenia się?

- Chyba nie, to znaczy zależy z czego. Na przykład z historii mam problemy z datami, dlatego

zapisuję je na karteczkach, lubię też opowiadać komuś.. poza tym nie mam jakiejś specjalnej techniki, nigdy nie miałam.

Czym zajmujesz się w wolnym czasie? Masz jakieś hobby?

- Moją pierwszą pasją są książki, mogę w nich siedzieć godzinami. Gdyby ktoś zamknął mnie w bibliotece, byłabym przeszczęśliwa. Po drugie jeżdżę konno, bardzo lubię spędzać z nimi czas, nie tylko jeżdżąc. W wakacje spędzam bardzo dużo czasu w stadninie. A z książkami wiąże się też marzenia o wieeelkich podróżach i fascynacja Ameryką Południową.

Gdybyś mogła pojechać w dowolne miejsce na Ziemi, dokąd byś się wybrała?

- Teraz, zaraz pojechałabym do Iquitos w Amazonii. Tam nie można dotrzeć inaczej niż płynąc Amazonką, miasto dla zuchwałych. A później wybrałabym się do dżungli, do Indian. Chciałabym też móc częściej chodzić po górach i zacząć się wspinać.. Marzy mi się jeszcze podróż dookoła świata stopem! :)

Jakie masz plany na przyszłość?

- Póki co skupiam się na maturze, żeby ją jak najlepiej napisać. Mam wstępnie wybraną uczelnię, ale wszystko może się jeszcze zmienić :)

A teraz mały quiz :)

Twój ulubiony/a:

Kolor...

- Jesienią lubię kolory stonowane: brązy, beże. Lubię niebieski (do oczu) :)

Słodycz...

- Czekolada!

Książka...

- Bardzo lubię i często wracam (jedyna książka przy, której śmiałam się na głos) - „Gringo Wśród dzikich plemion” W. Cejrowskiego. Lubię też bardzo książki podróżnicze lub reportaże z podróży. Zaczęłam również czytać na temat II wojny światowej – biografie, wspomnienia. W wolnych chwilach poezja – Słowacki, Poświatowska, Twardowski, Herbert, Baczyński...

Muzyka...

- Lubię spokojne kawałki: Bajora albo poezję śpiewaną – np. Stare Dobre Małżeństwo. Z mocniejszych Luxtorpedę , podoba mi się ich przekaz, ostatnio byłam na koncercie.

Owoc...

- Soki grejpfrutowe, a ostatnio polubiłam pomelo :)

Kuchnia, potrawa...

- Lubię tradycyjną kuchnię oraz to, co zrobię sama. Ale oczywiście najlepsze jest to, co zrobią moja mama i babcia. Z ciast wuzetka, wuzetka i wuzetka :)

Aktor...

- Zwracam zazwyczaj uwagę bardziej na rolę niż aktora. Zawsze ceniłam Michała Żebrowskiego, lecz stracił w moich oczach przez rolę w „Na dobre i na złe” (śmiech). Daniel Olbrychski – bardzo go lubię. Ostatnio rola Władka w „Czasie honoru” czyli Jan Wieczorkowski, także rola Rudej - Karolina Gorczyca. Są świetni.

Pora roku...

- Każda mi się kojarzy z czymś innym. Wiosna to wyjście na dwór i kwitnące wiśnie u mnie w ogrodzie, pełno zapachów i ożywienia. Lato kojarzy mi się z upałem, końmi i wieczorami w stadninie. Jesień – czas „zatrzymania się”, czas nauki, późna jesień – wieczór, książka, kocyk. Zima – za zimą nie przepadam.

Wolisz:

Spodnie czy spódnice?

- Zależy kiedy, w spódnicy raczej nie wejdę na konia. Praktycznie, na co dzień spodnie, jako kobieta lubię spódnice – a raczej suknie!

Horror czy komedię?

- Ani to, ani to. Lubię filmy z przekazem. „Czekając na Joe” to mój hit od paru miesięcy

Bez czego nie ruszysz się z domu?

- Tradycyjnie bez telefonu. Zazwyczaj mam też ze sobą książkę. To takie przyzwyczajenie. Lubię mieć książkę przy sobie, w razie gdybym musiała na kogoś czekać. Nie lubię nic nie robić.

Jakie trzy rzeczy zabrałabyś ze sobą na bezludną wyspę?

- Nie ma takich rzeczy, nie mogłabym wyjechać bez rodziny... (śmiech) Chciałabym, żeby tą wyspą była biblioteka!

Dziękuję za rozmowę

Z Marią Weinstok rozmawiała
Jagoda Szczygieł

**Przyszło nale y do tych,
którzy wierz w pi kno własnych marze .**

Lokomotywa - rekomendowana przez ekspertów!

Nasza szkolna gazetka nie cieszy się tłumem wielbicieli. Nie czytacie jej, bo wam się nie podoba, bo jest nudna, bo nie ma nic śmiesznego, bo nie ma w niej nic ciekawego, bo pisze nie wiadomo kto, bo kto czytuje szkolne bzdety, bo kto dziś czyta jakąkolwiek gazetę, bo komu w ogóle chce się czytać....

Jesteśmy samokrytyczni, więc przyglądamy się naszym tekstom.... Za długie! Trzeba skrócić, przecież licealiści większość czasu poświęcają nauce, zarywają noce, by zdążyć na czas z lekturą, oplakują każdą zmarnowaną minutę, więc nadmierne zajmowanie ich uwagi wymyślonymi przez nas problemami jest wręcz nieetyczne. Najlepiej będzie, jeśli teksty ograniczymy do połowy, no może do całej strony, ale już ze zdjęciem i większymi odstępami między wersami. A jeśli nasz rozmówca będzie miał do powiedzenia więcej, niż oferowana liczba słów, co wtedy? Kłopot, trzeba mu uświadomić, by streszczał swoje wywody, bo inaczej nikt tego nie przeczyta. Trochę to głupie, ale czego nie robi się dla zwiększenia czytelnictwa... Jest następny pomysł – zamieszczamy zabawne szkolne historyjki! A może pozdrowionka albo zaranżowany humor sytuacyjny? No i kilka nowoczesnych tematów: moda, muzyka, jakieś plotki ze szkolnych korytarzy, fajne są też sondáže, bo ludzie mogą się wypowiedzieć i opowiedzieć, poznać powszechny gust i pogląd. Co jeszcze? Mamy takie sobie, zastanawiamy się, czy na pewno próbujemy tworzyć gazetkę dla licealistów... Chwila na-



mysłu. Eureka, podążamy niewłaściwym tropem! Nie chcąc nas czytać, bo nie jesteśmy pisemem intelektualnym! Musimy podnieść poziom, może ludzi zainteresuje coś z psychologii, filozofii albo z religioznawstwa? A może kultura współczesna – to jest temat! Jak mogło nam przyjść do głowy, że licealiści pozbawieni są zainteresowań, ambicji i dobrego smaku? No i jeszcze jedna ważna rzecz: reklama. Ale jaka? Trudny temat dla amatorów, więc zaglądamy do fachowej literatury i szukamy inspiracji. Musi przecież istnieć jakiś skuteczny sposób, by zachęcić ludzi do przejrzenia zupełnie niezłej gazetki szkolnej! Znaców mechanizmów reklamy nie brakuje, znakomitych wykładów i opracowań również (uwielbiamy cię, biblioteko szkolna!), zatem uważna lektura i choćby powierzchowna znajomość tematu może owocować niezłymi pomysłami. Zatem czytamy!

Kilka pierwszych akapitów i już konsternacja: W tradycyjnej prasie podstawowym środkiem wyrazu było słowo, jednak dziś tekst werbalny wypierany jest z gazet i czasopism. Coraz wyraźniej treść jest zdominowana przez obraz i kolor. Wygląda na to, że w gazecie ludzie interesują jedynie obrazki, zdjęcia, reklamy, tytuły i nagłówki. Sensacja i rozrywka – oto główne danie czytelników prasy. Cóż, nie tylko dzisiejszych, bowiem tabloidy pojawiły się już w okresie międzywojennym jako propozycja dla mas, odpowiednia dla ich kompetencji komunikacyjnej (czytaj: braku wykształcenia) i gustów (ich braku?). Tutaj pojawia się postać niejakiego Josepha Pulitzerza, który nadał prasie nie-poważnej nowy kształt: mniejszy rozmiar kolumn, krótkie artykuły, bardzo prosty język, krzykliwe nagłówki, ogromne zdjęcia i rysunki. (Skąd my to znamy?) Sukces pana Pulitzerza okazał się ogromny,

bowiem do dziś prasa tabloidowa korzysta z jego pomysłów i zwraca się do odbiorców o ograniczonej kompetencji komunikacyjnej. Zastanawiające, zwłaszcza, że nagroda Pulitzera (ustanowiona przez niego w 1917r.) to dzisiaj jedno z najważniejszych wyróżnień dziennikarskich w USA.

Wróćmy jednak do ważniejszego tematu, reklamy. W tym temacie także nie brakuje ciekawostek. Okazuje się, że wypełnia ją magiczne pojęcie: człowiek nowoczesny. Któż to taki? Znajdujemy wyczerpującą definicję: osoba postępową, niezacofana, idąca z duchem czasu, mająca nowoczesne poglądy, respektująca obowiązujące normy moralne i estetyczne, mająca piękny wygląd, smukła, wysportowana, elegancka, dbająca o zdrowie, perfekcyjna w działaniu, dyspo-

zycyjna, świetnie zorganizowana, doskonały uczeń i pracownik, znająca języki obce, błyskotliwa, mająca dużą wiedzę o otaczającym świecie, korzystająca ze zdobyczy techniki i technologii, szanująca tradycje, będąca „na luzie”, kochająca rodzinę, pozostająca w zgodzie z naturą, żyjąca pełnią życia, światowa.... Jeśli przyszło ci do głowy, że takim ideałem nie jesteś i reklamy nie do ciebie są kierowane, wielka pomyłka. Zarówno guma do żucia jak pizza, samochód i papier toaletowy są rekomendowane przez ekspertów, idealnie gładkie, zachwycające, nowe, oryginalne, najwyższej jakości, mają tajemnicze składniki, cudowne właściwości, są zgodne z tradycją, jak u babci, u mamy, jak w domu i zaspokajają wszystkie pragnienia człowieka nowocze-

snego, czyli twoje.

Nie mamy już żadnych wątpliwości, że lektury kształcą, tylko muszą być dobre, najlepiej numer jeden na świecie! Człowiek nowoczesny to oczywiście metafora, tego tłumaczyć nie trzeba, a wnioski, dlaczego lansowany przez kulturę masową ideał ma ograniczone kompetencje komunikacyjne, nasuwają się same. Powiedzmy sobie szczerze, do takiego typu odbiorców naszej gazetki nie kierujemy, wolimy fajnych ludzi, którzy potrafią docenić naszą pracę. A przy okazji, jeśli mają coś do powiedzenia, może zechcą do nas i dla nas napisać.

Redakcja

Źródło: Język polski XXI wieku: analizy, oceny, perspektywy. Kraków 2007

Gra w skojarzenia

Nauczyciela wychowania fizycznego,
[prof. Wojciecha Jarke](#) przepytuje Klaudia Stecka

[Jestem... optymistą](#)

[Boję się... czarnych stron swojego charakteru](#)

[Denerwuje mnie... chamstwo](#)

[Wierzę w... Pana Boga](#)

[Lubię w sobie... poczucie humoru](#)

[Przyjaciele... to rzadkość i skarb](#)

[Mój nałóg to... nie mam nałogów](#)

[Pasjonuje się... sportem, muzyką, teatrem.](#)

[Płacę, gdy... się wzruszam](#)

[Szkoła to... połowa mojego życia](#)

[Nigdy więcej... chciałbym nie popełniać tych samych błędów](#)

[Mój autorytet to... każdy, kto dąży do prawdy i dążąc do niej nie czyni innym krzywdy](#)

[Prawdziwe szczęście to... kochać i być kochanym](#)

[Marzę o... zdobyciu Mount Blanc](#)

[W ludziach cenię... prostotę i szczerłość](#)

[Kiedy jest mi źle... szukam ciszy](#)

[Potrafię wybaczyć... potrafię](#)

[Najpiękniejsza książka... „Ewa czuje inaczej” Jacka Pulikowskiego](#)

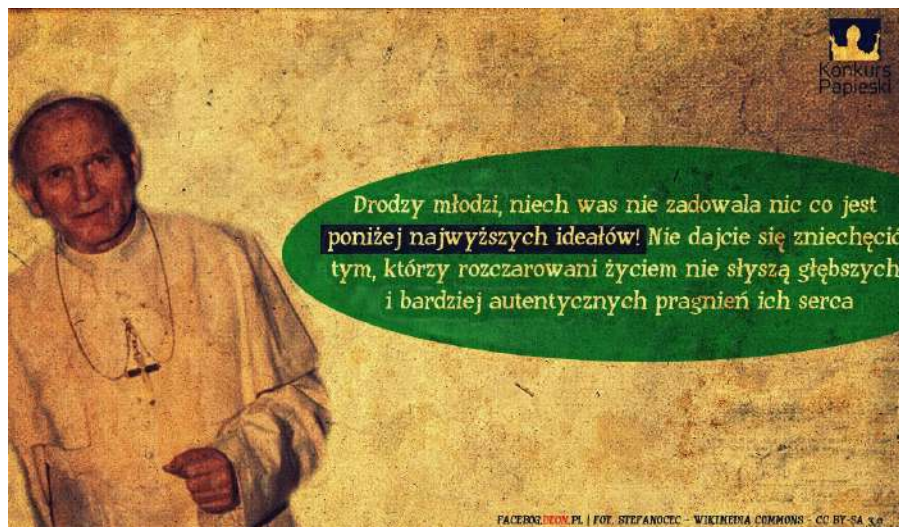


INTELIGENTNY, ALE TYLKO SZCZUR?

Jestem przekonany, że w życiu ucznia „Curie” tylko ideały są w stanie uchronić go przed redukcją do szczura, którego – nie pytając o zdanie – ktoś ustawił kiedyś na starcie wyścigu o nazwie „życie”. Ta redukcja dokonuje się przede wszystkim najpierw we własnych oczach, a objawia się chociażby w „zblazowanym” podejściu do każdego rozpoczynającego się dnia.

Im więcej sprawdzianów danego dnia, im bardziej któryś z nauczycieli wymaga, tym bardziej ciśnie się do głowy pytanie: A właściwie to „po co” ... (uzupełnij według własnych doświadczeń: wysilać się, być systematycznym, uczciwym, lojalnym, wiernym, konsekwentnym...)? A kiedy nie znajdujesz satysfakcjonującej odpowiedzi albo wyczuwasz, że wprawiłaby cię w alternatywnie dobry humor, dla świętego spokoju mówisz sobie: „tak trzeba” i ... Właśnie w tym momencie nieświadomie dołączasz do grona tych, o których za kilka godzin powiesz do kumpli, że nie chcesz mieć z nimi nic wspólnego.

Dlatego dziś słów kilka o uczciwości. Nie tej na sprawdzianach i w sklepie, ale tej wobec siebie samego. Uczciwości, która każe powiedzieć sobie przed lustrem: „Tak, są we mnie głębsze pytania o sens”. Co więcej, intuicyjnie wyczuwasz, że to są pytania najważniejsze, a zarazem najtrudniejsze. I dobrze wiesz, że choć odpowiedź na nie nie wypełni brakujących linijek tekstu na sprawdzianie z geografii czy biologii (a nawet jeśli, to wątpię, czy zdanie w stylu „Muszę od siebie wymagać, nawet gdy inni mnie nie sprawdzają” zapewni kilka dodatkowych punktów...), to jednak może znacząco wpłynąć na to, czy będzie ci się chciało



Drodzy młodzi, niech was nie zadowala nic co jest poniżej najwyższych ideałów! Nie dajcie się zniechęcić tym, którzy rozczarowani życiem nie słyszą głębszych i bardziej autentycznych pragnień ich serca

usiąść do książek przed kolejnym. Czyż nie?

To, co opisałem powyżej, to skutek rezygnacji z najwyższych ideałów, o których wspomina Jan Paweł II w zamieszczonym cytacie. Niektórzy mówią, że niepotrzebne są człowiekowi ideały, które są w dzisiejszym świecie nieosiągalne. Ci sami zapominają jednak, że ideał, który zostanie osiągnięty, przestaje nim być, bo najważniejsze jest to, że ideały ciągną człowieka w górę. Tak więc jesteś zwycięzcą już w momencie, gdy je posiadasz i jesteś im wierny, a nie kiedy je osiągniesz czy zrealizujesz (a tym samym unicestwisz!). Człowieka zmienia na lepsze nie stanięcie na podium, ale wysiłek, jaki wkłada, by się na nim znaleźć. Nie zdobycie ideału, ale wysiłek na jaki się zdobył. Nie świadectwo maturalne w ręku, ale to co przepra-

cowaleś w sobie przez lata licealne, kiedy przeżywałeś trudności w nauce, w relacjach z rówieśnikami, zmagaleś się z kryzysem wiary w Boga, czy gdy dotknął cię ból miłości – to wykształcił w tobie siłę charakteru.

Wiara jako „ideał zdobyty” (tzn. albo ją mam albo nie) jest rzeczywiście czymś bezużytecznym w codziennym życiu – dla wielu jest jedynie źródłem frustracji. Ale wiara jako przygoda – to jest to! Przygoda od opowieści różni się tym, że to pierwsze się doświadcza i przeżywa samemu, a tego drugiego jedynie się słucha. W tym pierwszym wszystko przed tobą, a w drugim już po wszystkim. A jak jest u ciebie? Jak jest z twoją wiarą?

ks. Marek Gubernat MSF

Zrobić coś dla innych...

Zdarza się, i to wcale nie tak rzadko, że marzymy o tym, by być komuś potrzebnym, by nieść pomoc osobom chorym, słabszym, niepełnosprawnym. Bywa również, że szukamy okazji, by zdobyć nowe doświadczenie życiowe i zawodowe. Zastanawiamy się wtedy: a może wolontariat? Dlaczego nie! Istnieje przecież wiele organizacji i ośrodków, które potrzebują wolontariuszy. Na terenie naszego powiatu wrażliwości na potrzeby innych ludzi uczy m.in. fundacja Złotowianka, pod kierownictwem pani Angeliki Leszczyńskiej, z którą mieliśmy okazję porozmawiać.

Każdy złotowianin kojarzy nazwę fundacji Złotowianka, jednakże nie każdy wie, jaki jest cel jej działalności.

Na początku założyliśmy sobie, że będziemy pomagać osobom, o których pisaliśmy w "Aktualnościach Lokalnych". Denerwowało mnie też, że do ośrodka rehabilitacji dzieci Zabajka 2 w Złotowie docierają pacjenci z całej Polski, a osoby potrzebujące z naszego terenu rzadko pojawiają się na turnusach. Pomyślałam, że coś jest nie tak, że albo ludzie wymagający pomocy nie mają pieniędzy, bo niestety rehabilitacja kosztuje, albo nie są świadomi, że mogą szukać środków i skorzystać z oferty Zabajki. W taki sposób narodził się pomysł założenia fundacji. Cel był od początku jasny: pomaganie chorym, niepełnosprawnym osobom, które znalazły się w trudnej sytuacji życiowej, ale zależało nam także na promowaniu młodych sportowców, talentów artystycznych, wokalnych, tanecznych...

Skąd pochodzi nazwa fundacji?

Fundacja nazywa się Złotowianka, bo miała obejmować pomocą mieszkańców powiatu złotowskiego. W naszym mieście była kiedyś restauracja o takiej właśnie nazwie, Wasi rodzice z pewnością ją pamiętają. Większości



ludzi dobrze się kojarzyła. Na początku podopiecznymi fundacji mieli być tylko mieszkańcy powiatu złotowskiego i gminy Łobżenica, czyli terenu zasięgu „Aktualności”, gdy jednak zaczęły się do nas zgłaszać osoby z całej Polski, nasza działalność rozszerzyła się. Jednak podopieczni z Polski nie korzystają ze środków, które fundacja gromadzi, organizując imprezy i akcje tu na miejscu.

W jaki sposób fundacja pomaga swoim podopiecznym?

Mamy w tej chwili już blisko 600 podopiecznych i robimy wiele, by się nimi zająć, na przykład refundujemy im niezbędny do rehabilitacji sprzęt.

Niektórzy z naszych podopiecz-

nych są przedsiębiorczy, sami działają, na przykład zdobywają środki z jednego procenta odpisywanego od podatków, ale są też tacy, którzy nie mają przebojowego charakteru i potrzebują wsparcia innych. Trzeba też wiedzieć, że młodzi sportowcy, młode talenty nie są podopiecznymi fundacji w dosłownym tego słowa znaczeniu. Dla nich my musimy zdobyć fundusze.

Żeby zrealizować nasze cele organizujemy na przykład Gwiazdkowy Rynek. Staramy się również, aby nasze imprezy uatrakcyjniły życie miasta, chcemy, żeby w Złotowie działo się coś fajnego. Jednak zdecydowana większość fundacyjnych inicjatyw ma na celu zgromadzenie środków dla tych właśnie podopiecznych Złotowianki, którzy sami nie są w stanie sobie pora-

dzić. Często nagłaśniamy problem w Aktualnościach", ale nie wszystkie przypadki opisane przez nas spotykają się z zainteresowaniem ludzi. Niekiedy odpowiedź jest niezwykle satysfakcjonująca, ale to zależy od przypadku, od czasu. Na przykład wszystkie sytuacje w okresie

nie wiedzą, że mogą po pomoc zwrócić się do fundacji. Raz w tygodniu spotykam się z zarządem Złotowianki, z paniami Katarzyną Klaczyńską i Jolaną Pietruszką i analizujemy podania, które do nas wpływają, a jest ich naprawdę bardzo dużo i to z całej Polski.



grudniowym spotykają się z większym odzewem, bo wtedy ludzie silniej odczuwają chęć niesienia pomocy innym. Udziela się nam wszystkim świąteczna atmosfera, więc najwięcej pieniędzy możemy zebrać właśnie w tym czasie.

W jaki sposób osoby potrzebujące mogą uzyskać pomoc fundacji? Muszą zgłosić się indywidualnie czy też Państwo sami je odnajdują?

Osoby potrzebujące najczęściej same szukają z nami kontaktu, chociaż dziennikarze "Aktualności", krążąc po terenie, często wychwytyją trudne sytuacje, są uwrażliwieni na ludzkie problemy. Zdarza się, że ludzie nawet

Zazwyczaj początki bywają trudne. Jak pierwsze kroki stawiała Złotowianka?

Niestety nikt nie chce wspierać raczkujących fundacji. Nie mogliśmy startować w konkursach, gdyż w wielu warunkiem udziału była roczna czy dwuletnia działalność albo wykazanie się jakimiś osiągnięciami. Kiedy raczkowaliśmy nikt z nami nie chciał rozmawiać. Ponieważ środki na rozruch fundacji muszą być, utrzymywaliśmy się na początku tylko z pieniędzy, które wkładałyśmy w nią my, fundatorki. Z czasem udało nam się pozyskać sponsorów, przekonać do siebie ludzi, zaangażować wolontariuszy.

No właśnie... Wolontariusz. Co musi cechować osobę, by mogła nim zostać?

Dla mnie najistotniejszą cechą jest empatia. Jeśli ktoś nastawiony jest na branie albo na dawanie, ale "coś za coś", to choćby był najbardziej komunikatywny, inteligentny i wykształcony, nie nadaje się do współpracy z nami. Wolontariusz nie może się bać kontaktu z ludźmi, nie musi być bardzo przebojowy, ale musi chcieć, to jest najważniejsze. Wolontariusze są różni i do różnych zadań można ich przydzielić. Pojawiali się u nas ludzie, którzy przyszli na "przełamanie". Chcieli spróbować, bo mają jakieś kompleksy i stwierdzają, że wolontariat im pomoże. Tu nikt nie oczekuje niczego wielkiego. Kiedy w pewnym momencie ktoś powie: "Dziękuję, nie chcę... nie mogę..." to nikt się nie obrazi. Wolontariusz musi chcieć pomagać, bo w zamian otrzymuje jedynie podziękowanie, uśmiech, no i satysfakcję, że robi coś dobrego.

Jakie warunki musi spełniać wolontariusz?

Wolontariusz musi chcieć i mieć trochę wolnego czasu. Inna sprawa, że zaświadczenie o wolontariacie może się w życiu przydać. Czasami do pracodawców przychodzą podania kilkorga młodych ludzi, które są świetne, jednakże nie ma w nich nic wyróżniającego. No i zaświadczenie może być małym atutem. Bo to jest sygnał, że osoba, która była wolontariuszem, jest przyzwyczajona do pracy, do robienia czegoś więcej. Zależy nam też, żeby dyrektor szkoły, wychowawcy wiedzieli o działaniach swoich uczniów.

Wśród naszych wolontariuszy mieliśmy młodych ludzi, którzy nie byli orłami w szkole i czasami różnie ich postrzegano, a u nas naprawdę się sprawdzali; tym bardziej zależało nam, żeby o tym powiedzieć. Do pracy w wolontariacie najwięcej chętnych mamy z waszego LO, kiedyś było także sporo z Gimnazjum nr 1, Ekonom także nam pomaga. Zgłaszają się do nas także dorosłe osoby. No i jest także współpracująca z nami grupa wolontariuszy w „Dwójce”.

Którą z akcji organizowanych przez Złotowiankę wspomina Pani szczególnie miło?

Przygotowanie każdej imprezy wymaga wiele pracy i długo się ją pamięta. Najgorszy jest Gwiazdkowy Rynek, bo grudniowa pogoda nie zawsze nam sprzyja. Bywamy tak zmarznięci, że powrót do temperatury pokojowej trochę trwa. Jednak najfajniejszą rzeczą, którą z młodzieżą robiłam, był projekt „W rytmie H2O”. Bardzo miłe wspominałam. Polsko-Amerykańska Fundacja Wolności była jedną z nielicznych, która pozwalała ubiegać się o granty młodym fundacjom. To był nasz sukces. Rozpatrywano 170 wniosków z całej Polski, zakwalifikowano tylko 28, w tym nasz. W ramach tego projektu zrealizowaliśmy „Hydrolizę”, która dwukrotnie zapełniła halę widowiskowo-sportową. Mamy kilka osób, właśnie z tego projektu, z którymi ściśle współpracujemy. Było to duże przedsięwzięcie i może dlatego wspominam je z satysfakcją.

Praca w Aktualnościach, w fundacji, bycie mamą... Czy da się pogodzić wszystkie obowiązki?

Niestety, ciężko to pogodzić. Dzieci wymagają uwagi, praca w "Aktualnościach" również, ale na szczęście jest wiele osób, które pomagają w fundacji. Zadania są po prostu rozdzielane. Gdybym wiedziała na początku, ile czasu i energii będzie wymagała fundacja, to pewnie nie podjęłabym wyzwania. Jednak odczuwam ogromną radość, gdy udaje się zebrać pieniądze na jakieś protezy, wysłać kogoś na turnus rehabilitacyjny, gdy ludzie przychodzą, są zadowoleni, dziękują. To jest fajne. Odczuwamy satysfakcję, że uzyskaliśmy możliwość zbierania funduszy z jednego procenta. Z roku na rok spływa do nas więcej pieniędzy, więc jest to dla nas sygnał, że robimy to dobrze.

Każda impreza to pomoc określonej osobie?

To zależy. Na przykład zbieraliśmy na protezę dla małej Wiktorii, ogłaszając cel akcji, ale na

Gwiazdkowym Rynku tego nie robimy. Staramy się dzielić dochód, połowę przeznaczając na pomoc podopiecznym, a drugą na młodych - zdolnych. Rozdysponujemy środki w oparciu o podania potrzebujących, biorąc pod uwagę sytuację, w której się znajdują.

Czym fundacja będzie się zajmowała po Gwiazdkowym Rynku?

W maju będzie kolejnych pchli targ, w czerwcu świętojanki, we wrześniu wystawimy „Kopciuszka”, potem Gwiazdkowy Rynek. Takie są plany, ale - jak znam życie - na pewno coś nam w ciągu roku wpadnie znienacka.

Rozmawiały:
Natalia Grzelak i Martyna Brandt



Co Piortrowi w duszy gra...

Rodzicielskie pomysły? Czasami nie są takie złe! Czasami coś zagra i to wcale nieźle.

Zacznijmy typowo - jak się to wszystko zaczęło? Co skłoniło Cię, aby uczęszczać do Szkoły Muzycznej?

- Moja przygoda z muzyką zaczęła się już w wieku sześciu lat. Pewnego dnia siedziałem samotnie w pokoju. Nagle weszła mama mówiąc, że ma dla mnie niespodziankę... Okazało się, że zapisała mnie do Szkoły Muzycznej!

I...jaka była Twoja reakcja?

-Nie byłem z tego powodu zachwycony, ponieważ wolałem wówczas bawić się w domu czy wyjść z kolegami, aniżeli spędzać czas w Szkole Muzycznej, ucząc się grać na jakimś trudnym instrumencie. Akurat pierwszym z nich były skrzypce...

Domyślamy się więc, że początki były bardzo trudne.

- Pierwszy rok był rzeczywiście straszny. Głównie z powodu naszego nauczyciela, który cały czas kazał nam stać prosto, wręcz „wyginać talię”. Po każdym zajęciach bolał mnie kręgosłup i byłem zmęczony, co sprawiało mi ogromny dyskomfort. W końcu stwierdziłem, że to nie instrument dla mnie...

Wtedy przyszedł czas na fortepian, prawda?

- Tak, wraz z początkiem nauki w podstawówce, rozpoczęła się moja przygoda z fortepianem.

To był Twój pomysł, czy znowu skłoniła Cię do tego mama?

- Ta decyzja wynikała tym razem z mojej inicjatywy, ale oczywiście mama nadal mi pomagała, ponieważ będąc małym chłopcem, nie mogłem jeszcze sam de-



cydować o sobie. W końcu miałem dopiero siedem lat... Zostałem przydzielony do klasy pani Izabeli Fidler, której przez cztery lata nauki nawet nie poznałem (śmiech).

Jak to?

- Otóż wspomniana nauczycielka była na urlopie chorobowym. Przez pierwsze trzy lata uczyła mnie więc inna pani, która nie przypadła mi do gustu. Dopiero w czwartej klasie wszystko obróciło się dosłownie o 180 stopni. Przydzielono nam nową panią, z którą lekcje stały się bardzo przyjemne. Potrafiła śpiewać, kiedy grałem na fortepianie, co sprawiało, że lekcje były nawet zabawne. Miała znakomite poczucie humoru. Zawsze miałem swój własny wybór co do interpretacji utworu. Nie narzucała mi tempa ani stylu. To było dla mnie bardzo ważne. W piątej i szóstej klasie powróciła p. Fidler. Była również bardzo miłą osobą. Na jej lekcjach czułem się tak swobodnie jak wcześniej.

Miałeś już wtedy fortepian w domu?

- Nie, ale teraz mam pianino. Na początku chodziłem ćwiczyć do Szkoły Muzycznej oraz korzystałem z gościnności znajomych posiadających pianino. Cykl nauki trwał sześć lat, więc w tym samym czasie ukończyłem naukę w szkole podstawowej oraz w Szkole Muzycznej pierwszego stopnia.

Jakieś osiągnięcia w tym czasie?

- Nie, nie specjalne... Miałem jakieś wyróżnienie w konkursie wewnątrzszkolnym. Odbywały się co prawda jakieś większe koncerty, ale nie uważałem, abym wówczas predysponował do wzięcia w nich udziału.

Masz jakieś ulubione utwory?

- Nie, ponieważ gram utwory skoczne, żywe, ale również takie, które wprawiają człowieka w nostalgię i melancholię. Nie mam ulubionego gatunku muzycznego. Słucham wszystkiego po trochu. To, że gram na fortepianie, wcale nie oznacza, że słucham tylko muzyki klasycznej, np. Mozarta. Lubię rock'n'rolla i rap, jeżeli ma oczywiście jakieś dobre przesłanie.

Nadal odwiedzasz Szkołę Muzyczną?

- Tak, ponieważ po ukończeniu sześcioletniego cyklu gry na fortepianie zapisałem się do niej ponownie i teraz gram na trąbce.

To akurat dla nas duże zaskoczenie. Wcześniej o tym nie wspominałeś! Dziękujemy Ci za interesującą rozmowę.

- Również dziękuję.

Rozmawiały Alicja Stippa i Iwona Zachwatowicz

Kino po lekcjach zaprasza!

Jeżeli spojrzemy na świat oczyma dziecka, możemy odkryć prawdy, których dorośli nie chcą dostrzec.

Kolejne spotkanie Kółka Filmowego odbyło się 15 lutego. Oglądaliśmy film pt. „Chłopiec w pasiastej piżamie” w reżyserii Marka Hermana. Akcja dzieła rozgrywa się w czasie drugiej wojny światowej. Opowiada o holokaucie, ale oczami dziecka. Głównym bohaterem jest 8-letni Bruno, który wraz ze swoją rodziną przeprowadza się z Berlina na wieś. Konieczność wyjazdu wiąże się z pracą jego ojca, który jest niemieckim oficerem. Chłopiec jest nieszczęśliwy i nie potrafi znaleźć dla siebie zajęcia w nowym domu. Pewnego dnia łamie zasady i zwiedza zakazane okolice. Jego ciekawość wynika z tego, że z okna w swoim pokoju widzi pracujących niedaleko ludzi. Sądzi, iż jest to farma. Pragnie znaleźć tam dla siebie towa-

rzysza do zabaw. Jednak okazuje się, że za drutami znajduje się obóz dla Żydów. Bruno nie rozumie, dlaczego wszyscy są tak samo ubrani. Numery na ubraniach uznaje za rodzaj gry, której zasad nie pojmuje. Zaprzyjaźnia się z więzionym chłopcem – Szlummem. Codziennie przychodzi do niego z różnymi zabawkami. Chociaż różni ich pochodzenie, nie zważają oni na stereotypy. Gdy Bruno dowiadyuje się, że ojciec Szluma zaginął, postanawia pomóc przyjacielowi. Wykopuje dół pod ogrodzeniem i przyodziewa się w taki sam strój, jaki noszą Żydzi. Przedostaje się na teren obozu. Niestety, uznany za jednego z „tubylców” zostaje zapędzony wraz z innymi do komór gazowych. Chłopcy nie są świadomi, że zaraz zginą. Rodzice

Bruna zbyt późno zauważają jego zniknięcie. Nie mogą już nic zrobić. Film ukazuje dziecięcy obraz świata – bez podziałów na gorzych i lepszych. Bruno został zamordowany tak samo jak Żydzi – nie mając żadnej winy, która usprawiedliwiłaby srogą karę. Dzieło Marka Hermana jest poruszające i zmusza odbiorcę do refleksji. Przedstawia holokaust z perspektywy dotąd nie zauważanej.

Licealisto!

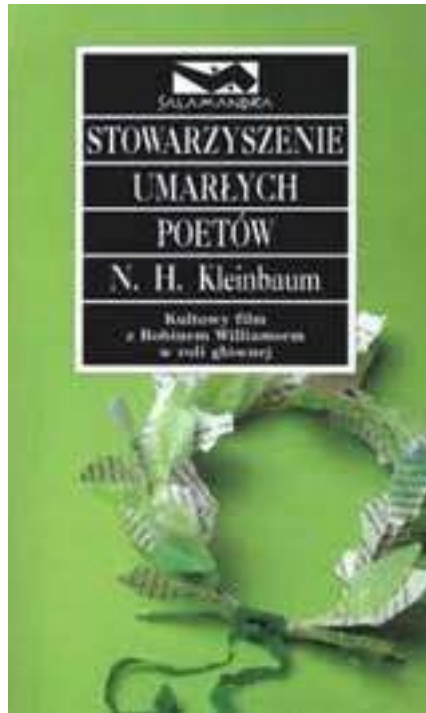
Obejrzyj z nami dobry film fabularny i dokumentalny, podziel się swoimi wrażeniami, zaproponuj kolejny seans!

Aleksandra Terkiewicz



Wagon z ciekawą książką: Stowarzyszenie umarłych poetów

Książka pt. „Stowarzyszenie umarłych poetów” została napisana przez Nancy Horowitz Kleinbaum na podstawie filmu o tym samym tytule w reżyserii Petera Weira. Autorka wiele razy tworzyła dzieła w oparciu o filmowe scenariusze. Tradycja! Honor! Dyscyplina! Doskonałość! Cztery zasady, którymi kierowano się w Akademii Weltona - elitarnej szkole średniej w Vermont. Słynie ona z wielkich osiągnięć i nader surowej dyscypliny. To właśnie tu rodzą się największe umysły na świecie. Wymarzone miejsce dla kogoś, kto chce w przyszłości być kimś? Niekoniecznie... Rozpoczynający się rok szkolny przynosi ze sobą zmiany. Nie tylko w liczbie uczniów, ale także w kadrze nauczycieli. Na miejsce odchodzącego na emeryturę profesora od języka angielskiego przychodzi nowy - John Keating. Dawny wychowanek Akademii Weltona w niczym nie przypomina tutejszej kadry. Swoim credo „Carpe diem” (chwytaj dzień) stara się wpoić w młode umysły, że należy mieć własne zdanie. Udaje mu się zainteresować kilku podopiecznych – Todda, Knoxa, Charliego, Richarda, Neila, Stevena, Gerarda - którzy zaciekawieni jego życiorysem sięgają po stare kroniki szkolne. Dowiadują się z nich, że ich nauczyciel należał do „Stowarzyszenia umarłych poetów”. Wypytyują o nie pana



Keatinga, który mówi im, że były to spotkania w określonej grupie, na których rozmawiali, dyskutowali, mówili o swoich marzeniach, dzielili się własną interpretacją wierszy. Odbywały się one potajemnie w grocie, niedaleko Akademii. Chłopcy zamierzają „odrodzić” tę ideę. Znajdują grotę, o której wspominał im nauczyciel i tam rozpoczynają swoją działalność. Dzięki niej choć na moment zominają o swoich problemach, m.in. wymaganiach własnych rodziców, którzy zaplanowali im dalsze życie. Niestety, szczęście bohaterów się kończy, gdy jeden z nich – Richard, podrzuca artykuł do gazetki szkolnej, który nawołuje do przyjmowania w mury Akademii dziewcząt.

Dyrektor Gale Nolan próbuje do cieć, kto jest w to zamieszany, ale Richard nie chce wydać kolegów. Dodatkowo Neil odkrywa soje powołanie – aktorstwo. Przeciwstawia się rodzicom i występuje w przedstawieniu pt. „Sen nocy letniej”. Wściekły ojciec wypisuje go z Akademii, a winą za zachowanie syna obarcza nauczyciela języka angielskiego. Decyzja ta doprowadza do nieodwracalnego czynu chłopca. Co takiego zrobił? Co się stanie z nauczycielem? Zaciekawionych odsyłam do lektury. Zrobiła ona na mnie duże wrażenie. Według mnie jest to książka zarówno dla młodzieży jak i osób starszych. Jej zakończenie jest zaskakujące, a zarazem do przewidzenia. Ukazuje nam, że powinniśmy być wolno-myślicielami i dążyć do spełnienia własnych a nie cudzych marzeń. Uprzedzam! Może powodować niekontrolowane łzy.

Aleksandra Terkiewicz

Lokomotywa zachęca: czytaj „Charaktery”!

Ekstrawertyk, introwertyk czy ambiwertk – która cech tworzy twoją osobowość?

Terminy ekstrawersji – introwersji wprowadził do psychologii Carl Gustaw Jung, jednak współczesne rozumienie temu czynnikowi osobowości nadał Hans Eysenck. Wysoki poziom ekstrawersji mają osoby towarzyskie, aktywne, śmiałe, poszukujące nowych doznań. Ekstrawertycy to ludzie przyjacielscy, rozmowni i otwarci na nowe kontakty, którzy lubią się bawić i używać życia. Wśród nich odnajdziemy optymistów o niewyczerpanych pokładach energii, ale też chętniej niż introwertycy sięgających po szkodliwe używki. Lubią dominować i wzbudzać zainteresowanie swoją osobą, dlatego wybierają zawody umożliwiające liczne kontakty społeczne, pracę zespołową, częściej obejmują stanowiska kierownicze, ich kariera zawodowa rozwija się dynamiczniej.

Introwertycy, czyli osoby o niskim poziomie ekstrawersji, wolą spokojną pracę, odpowiada im samodzielne stanowisko, niezależne od grupy. Są powolniejsi w działaniu, ale dokładniejsi, zwykle osiągają lepsze wyniki w nauce, zwłaszcza w trudniejszych przedmiotach. W kontaktach z innymi ludźmi zachowują

dystans i rezerwę, częściej są nieśmiali, nie brak wśród nich malkontentów. Nad dyskotekową wrzawę przedkładają ciche spotkania towarzyskie, samotny wieczór z książką nie jest dla nich powodem do zmartwienia.

Ekstrawersja należy do najszerzej zbadanych cech osobowości. Zaliczana jest do tzw. Wielkiej Piątki, czyli podstawowych czynników osobowości, które tworzą: ugodowość, sumiennność, otwartość na doświadczenia, neurotyczność i ekstrawersja. Z badań psychologów wynika, że kobiety są bardziej ekstrawertyczne niż mężczyźni, jednak typowych ekstrawertyków i introwertyków jest znacznie mniej niż ambiwertków, czyli osób, które posiadają cechy jednych jak i drugich.

Zrób sobie test!

1. Czy lubisz imprezy?
2. Czy jesteś optymistą?
3. Czy lubisz, gdy wokół ciebie dużo się dzieje?
4. Czy często się śmiejesz?
5. Czy lubisz poznawać nowych ludzi?
6. Czy jesteś beztrocki?

7. Czy masz dużo zainteresowań?

8. Czy lubisz przebywać w towarzystwie innych ludzi?

9. Czy jesteś rozmowny?

10. Czy lubisz żartować?

11. Czy często bywasz nierozważny?

12. Czy lubisz działać?

13. Czy jesteś duszą towarzystwa?

14. Czy lubisz spędzać czas w kawiarniach i pubach?

15. Czy zwykle jesteś liderem grupy?

16. Czy należysz do ludzi aktywnych?

17. Czy lubisz być w centrum wydarzeń?

18. Czy masz wielu przyjaciół i znajomych?

19. Czy wolisz działać w grupie niż samotnie?

20. Czy jesteś pełny energii?

Im więcej TAK, tym bliżej ci do ekstrawertyka.

Red.LO na podstawie:
Przemysław Bąbel:
Między ekstrawersją
a introwersją.

Charaktery

magazyn psychologiczny

Wagon literacki

Kiedy zostaje się poetą albo pisarzem? Pewnie wtedy, kiedy chce się nim być. Wystarczy nieujarzmiona wyobraźnia, zasób uskrzydionych słów, lekkie pióro, coś ważnego do powiedzenia i obsesyjna niechęć do odtwarzania. Jeśli stworzysz, podziel się z nami swoim światem: redakcja.lo2012@gmail.com

Ostatnia opowieść.

Każdy człowiek ma swoją historię. To jest opowieść jednego z sierżantów gwardii imperialnej, który uczestniczył w XV krucjacie 50 lat temu i często wspominał owe burzliwe czasy. Niedawno ten sierżant został porażony przez coś, z czym wtedy walczył i z czym wygrywał.

Domyślaliśmy się, że podczas krucjaty zdarzyło się coś nieoczekiwanego, że legion adeptów astartes prawie zniknął, ale chcieliśmy usłyszeć prawdę od naocznego świadka. Astartes nie by nie powiedzieli, asteropaci też nie są zbyt rozmowni, więc w kantine, po służbie zapytaliśmy sierżanta Rexa, co właściwie stało się na Terra15,26. Rex zamyslił się, a po chwili zaczął swą opowieść.

- Wtedy jeszcze byłem tylko szeregowcem, takim jak wy, pełnym wiary w Imperium, w siłę astartes. Wyruszyliśmy do - jak nam powiedziano wcześniej - niezamieszkanego układu gwiazdowego, bogatego w surowce potrzebne Imperium. Od razu po wyjściu z osnowy, jak tylko nasze okręty się zmaterializowały, coś zaczęło wybuchać na pancerzu i usłyszeliśmy alarm. Wszyscy ruszyli na stanowiska ogniowe. Nie od razu zorientowaliśmy się, że walą do nas asteropaci. Ich statki są bardzo podobne do floty eldarów, z którymi, jak wiecie, walczyliśmy. Odpowiedzieliśmy ogniem. Walka



nie trwała długo i nasze straty nie były duże - dwa okręty pionierów, które leciały z nami, zostały uszkodzone. Pociski przebiły im poszycie, na szczęście w jednym tylko luk towarowy uległ dekompresji. Jeszcze nie zdążyliśmy złapać oddechu, gdy na kanale wojskowym usłyszeliśmy pytania - Kim jesteście? Czy zamieszkujecie osnowę? Próbowaliśmy złapać kontakt, ale dowództwo odcięło nas od tej częstotliwości. Potem było spokojnie, nasi chyba dogadali się z napastnikiem, bo po paru godzinach nadleciał statek dyplomatyczny. Z tego co wiem, asteropaci przeprosili za incydent i zaproponowali pomoc w naprawach oraz uzupełnienie amunicji. Dowództwo nie zgodziło się na to, nie chcieli zdradzać tajemnic konstrukcyjnych naszych okrętów.

Potem rozpoczęły się negocjacje, chociaż wielu oficerów było przeciwnych rozmowom. Chcieli zniszczyć każdego, kto nie wy-

gląda jak człowiek, ale patriarcha Leman Russ miał inne plany. Polecieliśmy pod jedną z planet asteropatów, żeby tam, na twardej ziemi negocjować.

Pech chciał, że akurat na tej planecie było to przeklęte ostrze. Już nie pamiętam, dlaczego mój oddział dostał się do batalionu reprezentacyjnego gwardii. Przez parę dni asteropaci pokazywali nam osiągnięcia swojej cywilizacji, byliśmy też w jakiejś zbrojowni czy muzeum, sam nie wiem co to było. Tam właśnie, za tarczami energetycznymi składowali dziwną broń - jakieś miecze, włócznie. Wszyscy czuliśmy moc zawartą w tych ostrzach. Pośród nich było jedno, które szczególnie przyciągało uwagę. Roztaczała się wokół niego niezwykła aura. Działała nie tylko na nas. Pamiętam, że właśnie wtedy zauważyłem w oczach jednego z astartes, kapitana 1 kompanii Krwawych Aniołów Brustusa, zupełnie ludzką pożą-



dliwość. Przypatrywałem się jego twarzy z ciekawością, gdyż o astartes mówiło się, że są zupełnie wyprani z uczuć, że w genach mają zapisany brak strachu i litości, ale widocznie chciwość siedziała w nich głębiej.

Adeptus astartes byli wojownikami doskonałymi. Nadludźmi zakutymi w grube płyty pancerzy Aquila Mark IV. Wyglądają strasznie i słusznie budzą przerażenie. Wiecie, że mają podwojne niektóre organy? Że nie czują bólu? Kiedyś widziałem, jak jednemu strzasko dłoń. Odciął sobie ją mieczem łańcuchowym, bo przeszkadzała mu w walce.

No więc, to muzeum było jednym z ostatnich miejsc, jakie pokazali nam asteropaci. Negocjacje przedłużały się i było trochę nerwowo. Jakoś w tym czasie zmarł jeden z adeptus astartes. Wtedy sądziliśmy, że po prostu miał pecha. Podziwialiśmy go nawet. Kilka dni wcześniej pojedykował się z Brutusem i zwyciężył. A potem głupia śmierć - spadła na niego szafa z bronią, granaty go rozerwały. Prawdę poznaliśmy później, po tym jak Brustus zdradził. Kapitan wściekł się z powodu przegranej walki i zabił adeptus,

a później przewrócił na niego szafę z bronią, w której odbezpieczył granaty.

Brustus pragnął ostrza. Wiedział, że każdego, kto nim władał, czyniło niepokonanym. Dzierżyło je wielu asteropackich mistrzów, ale po pewnym czasie każdy z nich stawał się bardziej agresywny i obracał się przeciwko swoim. Trzeba było krwi wielu asteropatów, by miecz spoczął w bezpiecznym miejscu.

Brustus usłyszał, że źródłem mocy jest osnowa, że ostrze jest jej tworem, ale wierzył, że potrafi nad nią zapanować. Ale mylił się, bo osnowa to chaos w najczystszej postaci. Moc zawarta w

innym wymiarze.

Nam udało się ujarzmić część osnowy, dlatego możemy szybko przemieszczać się przez dziury w zasłonie pomiędzy różnymi wymiarami, możemy materializować się w dowolnym miejscu. Napęd nadświatłowy nigdy nie da nam podobnej możliwości.

Musicie jednak wiedzieć, że ten wymiar jest zamieszkiwany przez różne istoty, które nie są zycliwie do nas nastawione. Chcą naszej krwi, która jest dla nich swego rodzaju dobrem luksusowym. Demony, bo tak je niektórzy nazywają, próbują się przedostać do naszego wymiaru, żeby siać śmierć i zniszczenie. Czasem im się to udaje, ale nie zawsze mogą się zmaterializować. Wtedy opętują ludzi, a gdy wystarczająco skażą ich osnową, przejmują nad nim kontrolę. Widziałem taki przypadek na Terze. Człowiek zaczął nagle wrzeszczeć i to po prostu wyszło z niego. Rozerwało go i wyszło. Wyglądało jak diabeł, miało kopyta, czerwoną skórę, duże zakrzywione pazury i rogi. I jeszcze ten fetor, ohydny woń rozkładu. Demon rzucił się na naszego sierżanta, rozerwał go pazurami i zaczął się tarzać w je-





go krwi. Był szybszy niż jakikolwiek człowiek, dopiero po chwili zdążyliśmy zareagować. Nie wiem jakim cudem, ale zabiliśmy potwora.

Sierżant zrobił chwilę przerwy, a nam zdawało się, że w jego oczach odbija się wspomnienie strasznych wydarzeń. Siedzieliśmy i czekaliśmy wpatrzeni w Rexa. Zauważyłem, że grupka słuchających zrobiła się całkiem duża i że przyłączył się do nas oficer asteropatów i jeden astartes, który był bez swojego pancerza.

Rex odwrócił się w stronę baru:

- Młody, przynieś mi coś do picia – na stole natychmiast stanę-



ła butelka. Napił się i zamyślił.

Ciszę przerwał siedzący blisko mnie Asteropata:

- Kiedyś i my korzystaliśmy z osnowy, do transportu. Poznaliśmy też siłę demonów. Wdarło się ich do nas kilka tysięcy. Ich przywódca władał niezwykłym ostrzem. Nie zdołaliśmy go zabić. Bliski porażki umknął nam – zdematerializował się i wsączył do miecza. Broń trafiała w różne ręce, ale demon zawsze przejmował władzę nad jej właścicielem.

- Właśnie – odezwał sierżant - na czym to skończyłem? A tak, Brustus. Więc Brustus podczas następnego pobytu na planecie ukradł ostrze. Sprzeniewierzył się świętości astartes, ich kodeksowi. Kiedy asteropaci dowiedzieli się o kradzieży ostrza, zaczęli nas atakować. Odpowiedzieliśmy ogniem. Wszystkie siły astartes i Gwardii Imperialnej zostały wysłane na planetę. Okrętów miał pilnować Brustus ze swoją pierwszą kompanią. Walka zaostrzała się, więc dowództwo wezwało okręty, żeby zbombardowały asteropatów z orbity. Niestety, w układzie gwiazdym nie było naszych statków. Nie wiem jakim cudem, ale dogadaliśmy się z asteropatami, wyjaśni-

liśmy sytuację. Użyczyli nam statków i obiecali pomoc w odbiciu naszych okrętów. Podczas pogoni za Brustusem poznaliśmy historię ostrza.

Brustus udał się na Terre15,26. Gdy dotarliśmy z pogonią, ta niegdyś piękna planeta była czerwona, spalona i szalały na niej burze osnowy. Demony już urządziły sobie królestwo. Podczas odbijania z ich rąk naszych okrętów, przepadły dwie nasze kompanie i ćwierć kompani adeptus astartes z legionu Krwawych Aniołów. Ja byłem w kontyngencie mającym zabezpieczyć radiolatarnię komunikacyjną, żeby można było zapewnić naszym wsparcie. Wtedy poznałem prawdziwą siłę demonów. Trudno było sprostać jednemu takiemu, a stu? To były ciężkie dni. Kampanię zaplanowano na kilka dni, a trwała długie tygodnie. Ostrze skaziło nie tylko Brustusa, ale i jego wojowników. Astartes stali się silniejsi, a ich ciała uległy potwornej deformacji. Cena, jaką zapłaciliśmy za kapitana i jedną kompanię adeptus astartes opanowaną przez chaos, była jednak bardzo wysoka. Straciliśmy prawie wszystkich ludzi. Asteropatom też się mocno oberwało. W końcu Lemman Russ i generał asteropatów Trex zabili Brustusa. Widziałem to. Pod wpływem osnowy zamienił się w monstrum.

Co było dalej? Chyba wiecie. Zawarliśmy sojusz z asteropatami, porządkujemy planetę, mamy nowe misje... Rex skończył, ale na sali trwała cisza. Oczami wyobraźni widziałem Brustusa i walkę z demonami. Inni chyba też, bo dopiero po dłuższej chwili zaczęli się rozchodzić, szepcząc coś do siebie niezrozumiale.

Michał Daszkiewicz



Autorzy tekstów:

Martyna Brandt
Mateusz Gappa
Natalia Grzelak
ks. Marek Gubernat MSF
Weronika Rogut
Klaudia Stecka
Ala Stippa
Jagoda Szczygieł
Aleksandra Terkiewicz
Iwona Zachwatowicz

Edycja graficzna:
Dariusz Długoł cki
Andrzej Górecki

Opiekunowie:
Anna Dymek-Drw cka
Maria Rosi ska

Zdjęcia - źródło
fundacja "Złotowianka"
zdjęcia własne

Kontakt:
redakcja.lokomotywa@gmail.com

